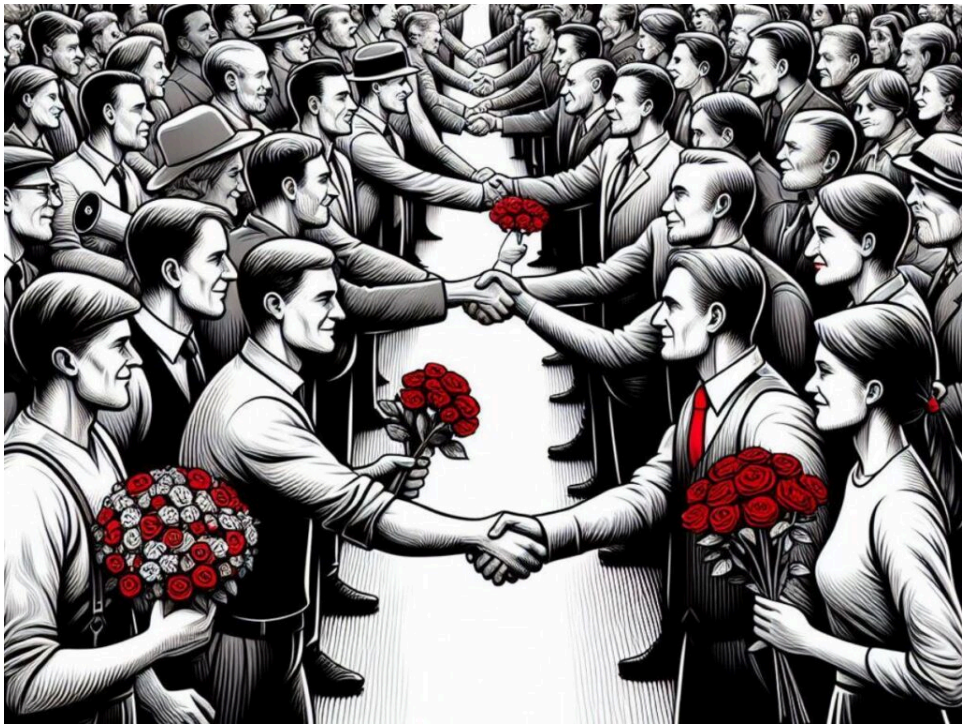
TOŻSAMOŚĆ · FUNDAMENTY · OPINIA

DO SOLIDARYSTYCZNEJ PRAWICY I WSPÓLNOTOWEJ LEWICY

Konrad Bonisławski · 9 lutego 2024



Pojęcia prawicy i lewicy mają się dość dobrze w dyskursie publicznym. Nadal pozwalają mobilizować aktyw partyjny i wyborców oraz na swój sposób porządkują scenę polityczną. Bywają wygodną, niekontrowersyjną łatką pomagającą politykom, gdy tworzą oni kolejne ruchy i szukają dla nich chwytliwych nazw. Obecne mamy wszak zjednoczoną prawicę, a obok niej ideową prawicę, po drugiej stronie zaś Nową Lewicę oraz Lewicę Razem.

Również osoby niezaangażowane bezpośrednio politycznie często intuicyjnie deklarują się jako prawicowcy lub lewicowcy, nawet jeśli niespecjalnie rozumieją oba pojęcia. Albo też z arsenału stereotypowych konotacji semantycznych związanych z tymi dwiema kategoriami (według których np. prawica oznacza wiarę, własność i rodzinę, a lewica choćby ateizm, ekologię i związki homoseksualne) wybierają zaledwie jedną, a następnie sytuują według niej swoje przekonania na osi prawica – lewica. Nie ułatwia to uporządkowania pojęć całej sceny politycznej ani nawet dookreślenia tożsamości danej osoby. No bo co w przypadku, gdy ktoś jest np. niewierzącym zwolennikiem silnego państwa i ekologiem zarazem? Także pogłębione badania opinii publicznej wskazują na dość swobodne i niekonsekwentne (jak tylko niekonsekwentni jako ludzie potrafimy być) mieszanie sprzecznych poglądów i wykluczających się wartości.

Tym samym dychotomia prawica – lewica ma się dużo lepiej niż suflowany np. przez narodowców w

latach 90. XX w. podział na patriotów i kosmopolitów, mający w założeniu unieważnić podział na lewicę i prawicę. Dotychczas niespecjalnie przyjęło się kreślenie podziałów na scenie politycznej np. wokół osi indywidualiści – wspólnotowcy, pomimo tego, że tzw. zwrot egoistyczny wśród młodzieży jest w Polsce bardzo widoczny, a z drugiej strony napotyka on jakąś reakcję w postaci pojawiających się haseł solidarności społecznej (np. Polski solidarnej). Nie trafił – na razie – na podatny grunt podział na globalistów, widzących w rządach ponadnarodowych, międzynarodowych instytucjach i markach globalnych korporacji spełnienie raju na ziemi i szczytowy punkt rozwoju ludzkości, oraz lokalistów, popierających to, co rodzime, bliskie (regionalne, krajowe) i budujące tożsamość na małym obszarze (rodzinnym mieście, regionie, grupie etnicznej).

> W polskich warunkach czasami ten spór się rzeczywiście objawia, choćby w ostatnich latach, jako dyskusja zwolenników suwerenności z entuzjastami Unii Europejskiej, gdzie ci pierwsi podnoszą argumenty niepodległościowe, a drudzy twierdzą – w pewnym uproszczeniu – że sami nie jesteśmy w stanie niczego dokonać, a to, co płynie z Zachodu, jest zazwyczaj lepsze. Na koniec zaś dodajmy też, że w większości zachodniego świata odchodzą w zapomnienie również podziały religijne i cywilizacyjne, bo wszyscy żyjemy w globalnej religii wolnego rynku demokracji i ekumenizmu.

Oczywiście od czasu do czasu część myślicieli, raczej w zaciszu swoich gabinetów niż w wysokonakładowych mediach, próbuje zdiagnozować i wykreować nowe linie podziału, które bardziej przystają do współczesnej rzeczywistości, ale zwykle bezskutecznie. Trzeba zatem na chwilę pozostać w paradygmacie pojęć „prawica" i „lewica". Następnie poszukamy punktów wspólnych (ale i wspólnych wrogów) dla tych reprezentantów obu kierunków, którzy z wartości wybierają wspólnotę w pierwszej kolejności. Niezależnie od tego, czy jest to prawicowiec, poszukujący naturalnych, przyrodzonych wspólnot, jak rodzina, grupa etniczna czy naród, czy lewicowiec, chcący budować związki na bazie dobrowolnej samorządności bądź wspólnych interesów pracowniczych. Niezbędne jest jednak też krytyczne spojrzenie na swoje własne wady zarówno przez prawicę, jak i lewicę wspólnotową, a także ciągły proces uczenia się od siebie nawzajem.

Źródła podziału i próby jego przełamania

Można oczywiście, jak chcą niektórzy, doszukiwać się prapoczątków lewicowości u Prometeusza, biblijnego Adama, upadłego anioła czy Spartakusa. Jest to wygodne, bo wówczas każdy władca, jako potencjalny tyran, stawiany jest od razu jako oponent tak rozumianej lewicy. Pozostańmy jednak przy podziałach bardziej nowożytnych, sięgających końca XVIII w., kiedy radykalny deputowany, *montagnard*, zajął miejsce po lewej stronie przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, a deputowany umiarkowany po prawej. Bez kłopotów dostrzeżemy, że zaczęły się one zacierać szybciej, niż powstały.

W Polsce wraz z kształtowaniem się nowoczesnych ruchów politycznych pod koniec XIX w. możemy zauważyć, choćby w obrębie ruchu narodowego, przecież na samym początku niespecjalnie rozległego osobowo i organizacyjnie, łączenie myśli postępowej z budowaniem i odbudowywaniem wspólnoty narodowej.

Jak pisze Nikodem Bończa-Tomaszewski w *Demokratycznej genezie nacjonalizmu*, protoplaści endecji z jednej strony stawiali nade wszystko na interes ludu, opierający się na poczuciu plemiennym i samorodnych, swojskich, podstawach bytu, nawet gdy lud o swoim istnieniu nie wiedział. Głosili jakże lewicowo dziś brzmiące hasła emancypacji „warstw upośledzonych", a więc chłopów, rzemieślników, kobiet czy... Polaków pod zaborami. Co więcej, ta emancypacja miała być pełna, a więc antyszlachecka (wyzwalająca od wyzysku dziedzica), antyklerykalna (wyzwalająca od plebana), a nawet antykapitalistyczna (gdy ciemiężycielem był miejski fabrykant)[1]. Zygmunt Balicki, jeden z ideologów endecji, jednocześnie członek Gminy Socjalistów Polskich, Związku Zagranicznych Socjalistów Polskich i Ligi Narodowej (łącznie działał w organizacjach socjalistycznych formalnie przez 20 lat), ściśle współpracował z Bolesławem Limanowskim, łączącym socjalizm z patriotyzmem. Po okrzepnięciu doktrynalnym pisał, że należy podjąć sprawę robotniczą, a polityka socjalna powinna być częścią polityki narodowej[2].

> Rodowód socjalistyczny mieli także Jan Ludwik Popławski, Stanisław Grabski, a nawet Roman Dmowski, który uczestniczył w redagowaniu „Przeglądu Socjalistycznego"[3]. Oczywiście np. dojrzały Balicki, już jako ideolog obozu narodowego, podobnie jak inni ojcowie założyciele endecji, piętnował ruch socjalistyczny tam, gdzie wykazywał się on ambiwalencją narodową i stawiał walkę klas wyżej niż dążenie do niepodległości.

Endecja łączyła emancypację chłopów z procesem nabierania przez nich świadomości narodowej. Lata później Władysław Grabski pisał w duchu solidaryzmu narodowego o zbliżeniu „dworu z zagrodą chłopską". Zresztą dla wcześniej wspomnianego Popławskiego lud to zbiorowość klas pracujących, nie tylko chłopów. Zaliczał on więc do niego „nie tylko włościanin, drobnych właścicieli i robotników wiejskich, ale i najemnych robotników fabrycznych i rękodzielników, i przedstawicieli wszelkich zawodów, nie wyłączając tzw. zawodów inteligentnych, którym wyłącznie lub przeważnie praca osobista daje środki do życia"[4].

> Ojciec polskiego nacjonalizmu krytykował też wielokrotnie kapitalistyczny wyzysk robotników i brak zabezpieczenia społecznego, co jak na ówczesne czasy było myśleniem wielce postępowym.

Z pewnym przekąsem można by nawet powiedzieć, że w działaniach endecji realizował się opisany w następnym wieku przez nowolewicowych twórców teorii krytycznej schemat 3E (3W): *enlightenment, empowerment, emancipation* (wyjaśnienie, wzmocnienie, wyzwolenie). Zaznaczano przy tym, że wyzwolenie chłopów i robotników musi być związane z narodem i państwem, co bywało trudne, gdy uwłaszczenie przynosili car lub cesarz austriacki. Podobnie jest dziś – dotacje rolnikom i przedsiębiorcom przyznaje Unia Europejska, a polskie mieszczaństwo, nawet jeśli nie jest już pochodzenia cudzoziemskiego, jak choćby w XIX w., to tak jak wówczas odnosi się często do tradycji polskiej obojętnie, kosmopolityzm jest zaś łatwy, w pełni zautomatyzowany i ogólnie dostępny przez wysoko przepustowy Internet.

Zresztą nacjonalizm demokratyczny, tzw. nacjonalizm pierwszej fali według typologii profesora Wielom-

skiego[5], w wielu krajach miał dość podobne oblicze – opierał się na rozszerzeniu semantycznym kategorii ludu na naród, uświadamianiu narodowym klas upośledzonych (w Polsce chłopów i robotników, we Francji całego tzw. stanu trzeciego), przy jednoczesnej – większej lub mniejszej – krytyce klas uprzywilejowanych.

> Ponadto nacjonaliści pierwszej fali walczyli oczywiście o prawo do samostanowienia o sobie wobec agresji z zewnątrz i obcych wpływów, a w kraju dążyli do wprowadzenia elementów państwa socjalnego (na ówczesne możliwości i świadomość) i swobody tworzenia związków zawodowych, jak np. we Francji[6]. Pomimo obecności wątków uniwersalistycznych u nacjonalistów pierwszej fali rozumieli oni też, że budowa egalitarnego, demokratycznego państwa narodowego dokonywała się w jednym kraju.

Wspólnotowa lewica musi więc w pierwszej kolejności przyjąć do wiadomości, że niemożliwa jest emancypacja ludu poprzez identyfikację z obcą siłą, a wydaje się, że tego chce współczesna polityczna lewica – aby socjaldemokratyczny kraj zbudowała nam np. Unii Europejska.
I by dzisiaj polscy pracownicy, niczym polscy chłopi modlący się pod pomnikiem Aleksandra II w Częstochowie (za którego czasów ich uwłaszczono) pod koniec XIX w.[7], składali hołdy dziękczynne Brukseli i kłaniali się tablicom „wybudowano za pieniądze UE". Zdobyczy polityki opiekuńczej można bronić w jednym państwie, tj. instytucji, która ma swoje stałe i trwałe granice, ściśle określony krąg odbiorców zobowiązań państwa, w którym obywatelstwo jest przywilejem, na jaki należy sobie zasłużyć, także codzienną pracą i wyrzeczeniami na rzecz wspólnoty.

Po drugie, jeśli wspólnotowa lewica zamierza wrócić do swoich prawdziwych korzeni, to zamiast kreować typ idealny człowieka jako osoby pracującej lekko i przyjemnie 35 godzin w tygodniu, a w razie czego pozostającej na wysokim zasiłku, której państwo zapewnia dach nad głową, a w razie czego ochroni przed eksmisją, powinna poczytać choćby Stanisława Brzozowskiego, z kluczową kategorią dla jego myśli, jaką była filozofia pracy. Według założeń tej koncepcji to zmieniający rzeczywistość człowiek w zbiorowym wysiłku, przezwyciężając gnuśność i lenistwo, jest symbolem postępu i modernizacji. Człowiek ma przełamywać naturę, także własną, aby stwarzać świat zgodnie ze swoimi pomysłami. Co więcej, praca według Brzozowskiego każe nam wieść życie ascetyczne, wręcz tragiczne, po linii największego, a nie najmniejszego oporu. Dlatego Brzozowski chwalił mentalność żołnierską, ale też przedsiębiorczego bojownika, a nade wszystko przedstawiciela klasy robotniczej – arystokracji pracy, nowego stanu rycerskiego. Gdy krytykował socjalizm, to przede wszystkim taki, który „jest punktem widzenia ludzi, którzy usiłują wydrzeć kierownictwo twórczości z rąk kapitalistów, po to tylko, aby poddać je kierownictwu niekompetentnej ekonomicznie inteligencji". Najważniejszy jest jego zdaniem wysiłek zbiorowy: „Aby żyć samoistnie, dana grupa ludzka musi być zdolna sama przez się mocą własnego swego życia – utrzymywać się na najwyższym poziomie techniczno-ekonomicznym rozwoju osiągniętego w danym momencie przez człowieka, musi to twarde wysilenie kochać"[8].

OGLĄDAJ TAKŻE: Prawica vs lewica – czy jest pole do współpracy? Remigiusz Okraska, Marcin Giełzak, Damian Adamus

Z kolei prawicowi wspólnotowcy, szczególnie ci bliscy tradycji narodowo-demokratycznej, muszą wziąć sobie do serca tę lekcję z jej historii, gdy dawało o sobie znać napięcie pomiędzy modernizacją a – mówiąc językiem właśnie Brzozowskiego – kultem domowego ogniska. Tym, co mogą zaczerpnąć z modernistycznej lewicy, jest dowartościowanie bazy i potrzeby budowania materialnych podstaw bytu narodowego. Albowiem, jeśli nawet brzmi to nieco anachronicznie dzisiaj, w dobie powszechnego ekonomizmu i materializmu, nierzadko w endecji kontemplacyjny styl uprawiania polityki zwyciężał, a sfera ducha nieraz brała górę nad realistycznym podejściem do polityki, gospodarki, państwa i dobrze rozumianego postępu. W latach 30. XX w. Adam Doboszyński pisał o Polsce (przecież biednej i zacofanej) jako kraju nadmiernie uprzemysłowionym, a źródeł rozwiązań problemów gospodarczych szukał w pismach św. Tomasza z Akwinu. Postulował demontaż ośrodków koncentracji przemysłu i handlu. Profesor Krzysztof Kawalec, badacz dziejów endecji, pisze wręcz, że w latach 1918–1939 Narodowa Demokracja zmieniła stanowisko wobec perspektyw modernizacji ziem polskich niemal o 180 stopni[9]. Inny znakomity badacz endecji, a jednocześnie jej krytyczny apologeta, profesor Bogumił Grott, przeciwstawia wręcz młodoendeckie poglądy o zabarwieniu silnie antymodernizacyjnym konstruktywistycznej myśli Jana Stachniuka, również nacjonalisty, z tym że pogańskiego. Zdaniem tego ostatniego wysoki poziom rozwoju i dynamikę gospodarczą państw zachodnich może osiągnąć jedynie taki naród, którego psychika zostanie całkowicie zmieniona. Stachniuk życiu kontemplacyjnemu, kultowi małego zakładu rolnego lub rzemieślniczego i domowego ogniska przeciwstawiał ducha heroicznego entuzjazmu, twórczą działalność również na polu gospodarczym[10].

Dlatego też tym, co jeszcze łączy starą lewicę z endecją, jest niechęć do niektórych cech polskiej szlachty, które to cechy następnie zostały już w dość karykaturalnej formie zaczerpnięte przez kształtującą się na bazie szlachty inteligencję, zresztą częstokroć wywodzącą się metrykalnie i mentalnie spośród szlachty – mowa o braku zainteresowania sprawami gospodarczymi oraz bierność polityczną. Warto tu także zauważyć, że jakkolwiek słusznie konstatowano w pismach endeków, że przez całe wieki polskie mieszczaństwo było warstwą upośledzoną, a częstokroć nieobecną z uwagi na żywioł obcy, który zdominował miasta, to po dojściu do klasowej dominacji mieszczaństwo stało się niekiedy gorsze od szlachty. Słusznie i w sposób aktualny pisze Andrzej Walicki, że burżuazyjna demokracja stała się w XIX w. nową demokracją szlachecką, gdzie w obu przypadkach przymiotniki mają właściwość znoszącą. Analogiczne rozumowanie jak w przypadku szlacheckiej wolności można wszak zastosować do wolności burżuazyjnej i burżuazyjnej demokracji[11].

Jeśli nawet dla kogoś antymieszczańskość i antyszlacheckość mogą trącić myszką, nie da się nie zauważyć, że nowoczesny „straszny mieszczanin" to figura żywa, cechująca się dzisiaj nawet większą niż kiedyś ambiwalencją narodową, głosująca raczej już nie na konserwatywną, ale liberalną prawicę lub mieszczańską lewicę, a czasami na nową lewicę. To także uosobienie wygodnictwa, konsumpcjonizmu, życia rentierskiego i życiowego oportunizmu.

> Mieszczaństwo zaś to nieodmiennie często eliminacja transcendencji i redukcja relacji społecznych do relacji rynkowych. To życie kramarskie, pogoń za zyskiem i koniec końców – destrukcja wszelkiej wspólnoty. To nierzadko życie poza społeczeństwem (w swojej bańce) i poza wspólnotą państwową (właściwie we wrogości wobec państwa), gdzie każdy element solidarności jest zamachem na dobro osobiste.

W XXI w. odpowiedzią jednak nie jest już poszukiwanie zdrowej tkanki narodu w proletariacie, jak chciał Stanisław Brzozowski, czy też w chłopstwie i drobnych przedsiębiorcach, jak proponował z kolei, wychodząc z zupełnie innych pozycji, Adam Doboszyński. Klasa ludowa, jak zwykliśmy nazywać w ostatnich latach w Polsce dolne warstwy społeczne, głównie ze względu na status ekonomiczny, w zbyt wielkim stopniu upodabnia się do mieszczaństwa, przyjmując jego aspiracje, system wartości i mentalność. Tożsamość klasowa oparta jest przy tym często na fałszywej świadomości. Nawet jeżeli wydaje się oczywiste, że do klasy ludowej przynależeć może np. drobny, polski przedsiębiorca, także z mniejszej miejscowości, lub rolnik, przełamanie podziałów klasowych musi obecnie oznaczać też rozbicie fałszywej solidarności. Takie przełamywanie barier i podziałów klasowych powinno być dzisiaj kolejnym wspólnym zadaniem zarówno wspólnotowej lewicy, po ostatecznym odrzuceniu przez nią marksizmu i neomarksizmu, jak i prawicy narodowej, chcącej solidarności społecznej, choć już nie „Polski bez proletariatu". Nie można jednak tym różnicom zaprzeczać i ich ignorować.

Zamiast sojuszu

Przechodząc jednak do naszych współczesnych i lokalnych problemów, przypomnijmy, że odziedziczyliśmy po czasach PRL szczątkowe i zdeformowane podziały polityczne, polegające na zawłaszczeniu lewicowości przez oportunistyczną i bezideową formację postkomunistyczną oraz odrodzeniu myśli prawicowej w dużym stopniu w formach albo historycznych, albo inspirowanych w linii prostej z Zachodu, ówcześnie przeżywającego zachłyśnięcie neoliberalizmem. Sytuacja była o tyle złożona, że to postkomuniści (począwszy od Jaruzelskiego i Wilczka) wdrażali neoliberalne reformy, a wśród byłych działaczy „Solidarności" niemało było autentycznych socjalistów, swego rodzaju syndykalistów czy też ludzi traktujących po prostu serio wskazania katolickiej nauki społecznej. Niemniej dalej w społecznym odczuciu tym, co odróżniało lewicę od prawicy, były stosunek do Kościoła i PRL. Po rozpadzie tego podziału około roku 2005 przejrzystość ideowo-polityczna tylko pozornie była większa. Sztucznie i niekonsekwentnie kreślone podziały ideologiczne (Polska solidarna kontra liberalna) i eklektyzm zarówno głoszonych, jak i realizowanych programów symbolizują czasy Polski po Rywinie i upadku SLD.

Niewiele klarowniej rzecz się przedstawiała poza polityczno-medialnym mainstreamem, gdzie z uwagi na praktyczną nieobecność problemów socjalno-bytowych i społeczno-gospodarczych zaklęcia ideologiczne, hasła, ale również więzi towarzyskie decydowały o przynależności do tej czy innej koterii. Oczywiście pewne schematy próbowano przełamywać. Całkiem wielu w III RP zjadło zęby, ale też potraciło przyjaciół i wiarygodność, na próbie tworzenia sojuszu tzw. ekstremów w kontrze do liberalnego centrum. Rzeczywiście, wspólne inicjatywy polityczne osób o różnych rodowodach, gdy w polityce dominują podziały na kliki i spory personalne, mają nikłe szanse powodzenia. Sojusz osób o poglądach prospołecznych nie może być także projektowany jako swoisty „sojusz antysystemowców" tylko wtedy i z tego powodu, że opowiada się przeciwko demoliberalizmowi. Bycie deklaratywnym antysystemowcem to za mało, gdyż w takim gronie znaleźć się mogą ludzie wypluci przez system z rozmaitych powodów. Wątpliwym spoiwem jest też sojusz populizmów – prawicowego i lewicowego. W Polsce swego czasu funkcjonowało porozumienie (współrządzących z PiS) prawicowej Ligi Polskich Rodzin z chłopsko-związkową Samoobroną. We Włoszech mieliśmy do czynienia z rządowym sojuszem prawicowo-populistycznej Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd, populizmem ultrademokratycznym czystej wody. Oba te sojusze nie przetrwały próby czasu, gdyż sprzeciw i mityczne słuchanie zmiennego głosu ludu to zbyt słabe spoiwo. Choć działo się to w kraju i w momencie jego historii, gdy narzucanie technokratów, przy wsparciu bezosobowych elit i zagranicy, a wbrew ludowi, osiągnęło apogeum. Zresztą, co w sytuacji, gdy lud w tej czy innej sprawie za-

czyna mówić głosem mniej rozsądnym niż elity?

Wspólny wróg...

Nic jednak nie jest tak dobrym spoiwem jak wspólny przeciwnik. Wspólnotową lewicę z prawicą łączy oczywiście wspólny wróg. Jest nim niewątpliwie liberalizm, ale też kolejne jego mutacje z liberalnym komponentem: socjalliberalizm, konserwatywny liberalizm (o neoliberalizmie wspomnimy osobno). Sprzeciw wobec liberalizmu powinien być jednak głęboki i nieoparty jedynie na krytyce takich czy innych rozwiązań określanych jako liberalne (te mogą być momentami nawet dobre dla narodu, nie wykluczajmy dogmatycznie takiej sytuacji).

Liberalizm to błędne podejście do człowieka jako samowystarczalnej i wyalienowanej jednostki (błąd antropologiczny). Roman Rybarski, krytykując liberalną wizję społeczeństwa, pisał, że uznaje ona, iż „społeczeństwo jest zbiorem jednostek, interes zbiorowy jest sumą interesów indywidualnych, społeczeństwo ma rację o tyle, o ile odpowiada ono prawom czy interesom jednostek. Systemy te rozumują w ten sposób, jak gdyby jednostka mogła istnieć poza społeczeństwem, jak gdyby społeczeństwo było faktem pochodnym”[12]. To krytyka liberalnej formy społeczeństwa, które liberałowie chcieliby widzieć jako formę umowy jak każda inna. Następnie to społeczeństwo na zasadzie kontraktualnej może – według tej wizji – absolutnie dowolnie tworzyć, konstruować i dekonstruować narody oraz zapraszać do narodu dowolne grupy ludzi, niezależnie od ich pochodzenia, kultury, a nawet ich własnej woli i autoidentyfikacji.

> Liberalizm to błędne rozumienie państwa i prawa, rzekomo neutralnego aksjologicznie i jedynie przestrzegającego reguł, nie wiadomo, przez kogo i na jakich podstawach opartych. A na koniec zaś, choć od niej się wszystko zaczyna *de facto*, błędne rozumienie polityki, podyktowane złudzeniem, że da się ją zastąpić ekonomią, wykluczając z niej konflikt i rywalizację[13]. Podsumowując, liberalizm jest antypaństwowy, bywa aspołeczny i jest najczęściej antypolityczny.

Podobnie jak na istnienie wspólnotowej (starej) lewicy i antyliberalnej prawicy, część badaczy od dawna zwraca uwagę na – wpisujące się w ten podział na wspólnotowców i indywidualistów – istotne podobieństwo pomiędzy neoliberalną, libertariańską prawicą a nową lewicą. Skrajną społecznie postacią liberalizmu jest bowiem obecnie neoliberalizm, głoszący dogmatycznie od wielu dziesięcioleci, że remedium na biedę i wykluczenie jest znoszenie barier, swobodny przepływ ludzi i towarów, a także jak najmniej ingerencji państwa w gospodarkę. Pomimo pozornego skupienia na kwestiach czysto ekonomicznych, z prymatem człowieka gospodarującego jako figury archetypicznej dla nowoczesnego społeczeństwa, neoliberalizm to głównie ideologia. Co więcej, pisma czy to przedstawicieli austriackiej szkoły ekonomii, czy szkoły chicagowskiej to rzadko kiedy literatura ekonomiczna, oparta na wyliczeniach, tabelach i badaniach empirycznych. Raczej pełne są one ideologicznych zaklęć, filozofii państwa, prawa i ekonomii. A za tą ideologią kryje się atomizacja społeczna, uznanie jednostki za miarę wszechrzeczy, gdzie niewiele miejsca pozostaje na jakiekolwiek inne stabilizatory społeczne i wartości. Gdyż jak podkreśla Ludwig von Mises (a obok niego wielu innych jego kolegów po poglądach): „Dziewiętnastowieczni liberałowie dostrzegali, że rozwój jednostki jest rzeczą najważniejszą. Hasłem postępowym i liberalnym było: «jednostka i indywidualizm». Reakcjoniści zaatakowali to stanowisko już na początku XIX wieku”[14].

Paradoksalnie ta wizja, szczególnie w odniesieniu do jednostki, państwa i globalizacji, nie odbiega znacząco od ideałów szkoły frankfurckiej i nowej lewicy. Już Erich Fromm doceniał kapitalizm za wyzwolenie jednostki z opresji tradycji. To jednak nie koniec zasług liberalnego kapitalizmu dla późniejszych sukcesów nowej lewicy. Teoria krytyczna szkoły frankfurckiej w swą genezę miała wpisaną wszak myśl kosmopolityczną i wolną od kulturowych i wspólnotowych ograniczeń. Zdaniem np. Horkheimera jednostkę trzeba stopniowo wyzwalać ze społeczeństwa w kierunku pełnej od niego autonomii[15].

> Teoria krytyczna szkoły frankfurckiej to marksizm bez proletariatu. Rdzeniem społecznym dla tej wpływowej dziś ideologii nie jest określona klasa społeczna, ale wyalienowana jednostka, dowolnie kształtująca swoją tożsamość.

Z racji właśnie faktycznej ideowej dominacji na współczesnej lewicy szkoły frankfurckiej i nowej lewicy nad chociażby starą lewicą, również tą niemarksistowską, tym większa odpowiedzialność za odwojowanie, nie tyle ideowe, ile społeczeństwa, spoczywa na tych, którzy nie chcieliby, aby lewicowe wartości rozpłynęły się wśród pomysłów będących ich zaprzeczeniem. Co ważne i jednocześnie obligujące wspólnotową lewicę do wzmożonych działań o rząd dusz, taka mniej więcej wizja jednostki, państwa narodowego, społeczeństwa i wolności zarówno neoliberałów, jak i neomarksistów.

Odpowiedzią ludzi o przekonaniach wspólnotowych, solidarystycznych powinno być przeciwstawienie liberalizmowi kompleksowej alternatywy na wszystkich wymienionych polach i kształtowanie nowej osi sporu wokół tychże definicji – osoby ludzkiej, społeczeństwa, państwa i polityki, a także fundamentalnej dla myśli liberalnej (i antywspólnotowej lewicy i prawicy) kategorii –wolności.

Po pierwsze, ustalmy to raz na zawsze, że nie ma jednostki, a zawsze jest to osoba zakorzeniona w danej wspólnocie i tożsamości. Przedstawiamy się jako członek narodu, grupy zawodowej, płeć jest raczej samoidentyfikacją naturalną, biologiczną. Społeczeństwo to więzi organiczne między ludźmi, a naród to wspólnota pokoleń minionych, wartości, instytucji i ducha[16]. Po wtóre, różni nas wizja państwa, które powinno być rozumiane przez to społeczeństwo i naród jako dobro powszechne, nie aparat opresji i wyzysku, jak chcieliby nie tylko liberałowie, lecz także marksiści. Polityka zaś jest dla nas troską o dobro wspólne, jest polem rywalizacji, walką o przetrwanie (narodu) i panowanie np. jednego narodu nad drugim, jest podstawowym przejawem egzystencji przedmiotowej podmiotu zbiorowego (narodu) wobec innych[17]. To obszar nieredukowalny do ekonomii czy estetyki, jak chcieliby demoliberałowie. Na koniec zaś, inaczej pojmujemy wolność, która powinna być przede wszystkim wolnością do czegoś – do czynienia dobra, do służenia dobru wspólnemu, służenia innym itd.

Co to może oznaczać w praktyce? Przede wszystkim budowanie nie jednej, ale wielu wspólnot, w tym także tych pośredniczących pomiędzy osobą, rodziną a państwem – związków zawodowych, samorządu zawodowego, związków pracodawców, wspólnot lokalnych i upowszechnianie zaangażowania w nie. To wizja budowy państwa jako domu wszystkich obywateli. To w końcu realistyczna, ale i aktywizująca wizja polityki i polityczności, z końcowym jej ideałem, jakim powinna być polityczna jedność narodu w obliczu zewnętrznego zagrożenia. Uświadomienie sobie, że zabezpieczenie bytu, wolności, dobrostanu możliwe jest jedynie w ramach wspólnoty narodowej i państwowej.

CZYTAJ TAKŻE: Rama metafizyczna dla opozycji prawica-lewica. Filozofia losu w ujęciu Bogusława Wolniewicza

...i wspólne sprawy

Odchodząc już od kwestii metapolityki i filozofii polityki, można wskazać rozliczne sprawy, na które lewica i prawica mogą patrzeć jednakowo, i to nawet mimo kompletnie różnych założeń światopoglądowych. Czasami idąc różnymi drogami myśli, da się dotrzeć do tych samych wniosków. Stąd też lista spraw do załatwienia lub wspólnych przeciwników jest nieco dłuższa.

Zaczynając od spraw najbardziej globalnych, to rzeczywistą lewicę i ideową prawicę powinna łączyć niechęć wobec globalnego kapitalizmu, przy czym nie tylko wobec wszechwładzy korporacji i swobodnego przepływu kapitału. To z lewicy i jej naturalnej bazy społecznej, która myśli realistyczniej niż piewcy globalnych rządów i globalnego obywatelstwa spod znaku hasła „bez Boga, bez granic", powinna głośniej i na nowo wybrzmieć krytyka otwartych granic i swobody migracji. Nie przypadkiem to w kraju tak otwartym z definicji na przybyszów jak USA w XIX w. właśnie związki zawodowe i proletariusze w pierwszym rzędzie domagali się ograniczenia imigracji i jej praw politycznych. Współcześnie zaś to, z czym mieliśmy do czynienia do niedawna, to prywatyzacja procesu imigracji i realizacja w praktyce wizji imigracji jako tworzenia zastępczej armii kapitału (pisał o tym Alain de Benoist). Przy jednoczesnym upowszechnieniu jej kosztów w postaci np. gett, wzrostu przestępczości, ale również zaburzeń na rynku pracy. Biedny imigrant, który podejmie się każdego zatrudnienia, jest przecież konkurentem nie dla białych kołnierzyków, zamawiających jedzenie i jeżdżących taksówkami znanej sieci, ale dla sprzątaczek, kierowców, sprzedawców i innych współczesnych prekariuszy i proletariuszy. Rozumiejąc nawet lewicową, ale też chrześcijańską (*vide*: stanowisko Kościoła katolickiego wobec kolejnych kryzysów migracyjnych) wrażliwość na prawa człowieka, akcentujmy jego prawo do nieemigrowania i rozwoju we własnym środowisku kulturowym, we własnym kraju.

Poza globalizmem wspólnym wrogiem powinien być imperializm, który choć nadużywany pojęciowo przez lewicę (częściej w odniesieniu do USA, ale najczęściej wobec Rosji) i prawicę (w odniesieniu do Rosji i raczej rzadko USA), w naszych realiach ma postać Unii Europejskiej, uzurpującej sobie coraz więcej praw do wtrącania się do naszych wewnętrznych spraw. Imperializmem mogą być też brak poszanowania innych kultur, przemoc strukturalna, finansowa, niekoniecznie przecież agresja militarna *sensu stricto*. Środkami nacisku na dany kraj może być walka informacyjna i finansowa, a centrum decyzyjne w danym imperium może być rozproszone. Najnowszy przykład tego, jak może wyglądać w praktyce opresja gospodarcza UE, możemy obserwować na Ukrainie, gdzie m.in. konwergencja polityki zagranicznej z unijną jest warunkiem przyznawania pomocy gospodarczej, niezbędnej państwu prowadzącemu wyniszczającą je wojnę z ... imperialistyczną Rosją. Jak bardzo jednak takie podejście przypomina niektóre z działań państw imperialistycznych kolonizujących trzeci świat w XIX w.

Ponadto, jak wiadomo, wrażliwość części prawicowców rani posługiwanie się przez lewicowców terminem ludowładztwa i absolutyzowanie czynnika demokratycznego (wyborczego) przy podejmowaniu decyzji. Wszak naród to nie tylko społeczeństwo żyjące tu i teraz, lecz także wspólnota tych, którzy umarli (tradycja), i troska o tych, którzy przyjdą po nas (transcendencja i chęć przetrwania). Jednak wszechotaczająca nas władza Unii Europejskiej jest coraz bardziej postrzegana jako ta, która zasady suwerenności ludu ogranicza dzisiaj w Europie najbardziej. Wpływ obywateli państw członkowskich na proces decyzyjny jest znikomy, a główną rolę w procesie ustawodawczym nadal odgrywają organy niewybieralne

powszechnie. Co więcej, w doktrynie zwraca się uwagę, wychodząc z jak najbardziej ortodoksyjnie demoliberalnych pozycji, że w UE następują zarówno deparlamentaryzacja (która też jest demokracją – ludowładztwem – jedynie pośrednią), ponieważ organy władzy wykonawczej rządów państw członkowskich decydują (też pośrednio) o ustawodawstwie, a parlamenty krajowe częstokroć jedynie implementują prawo unijne w kraju, bez wielkiego wpływu na jego kształt[18].

> Unia Europejska to twór nie tylko antydemokratyczny, ale wręcz oligarchiczny, a wobec państw drugiej i trzeciej kategorii w UE również neokolonialny. Właściwie to UE na równi z USA powinna być czarnym snem lewicy, a nie rajem na ziemi. Nie mówiąc już nawet o instytucjonalnej przemocy UE wobec krajów członkowskich, które np. ośmielą się wybrać (demokratycznie) rządzących nie po myśli władców UE.

Ludowładztwo to też społeczna kontrola nad władzą centralną. Niekoniecznie podsycana przez media analiza anegdot, na podstawie których internalizuje się i absolutyzuje jakieś przypadki na całą klasę polityczną, politykę i państwo jako takie. Społecznie dojrzałe i oparte na trosce o dobro wspólne rozumienie mechanizmów władzy, szczególnie potrzebne na poziomie samorządowym i unijnym, sprzyja jej samej. Za często, nawet dzisiaj, w dobie społeczeństwa informacyjnego, bezkrytycznie patrzymy na procesy polityczne dziejące się na szczeblu innym niż centralny krajowy. Bierze się to m.in. z braku dobrej jakości niezależnych mediów lokalnych, a na szczeblu unijnym – z oderwania tej władzy od ludu właśnie. Zarówno jeśli chodzi o faktyczną alienację, jak i brak głębszych analiz i powszechności, dostępnych częściowo teoretycznie, mechanizmów społecznej kontroli.

Innym współczesnym wymiarem rządów nowej arystokracji jest wszechwładza prawników, połączona z tzw. aktywizmem prawniczym sądów. Poziom arbitralności części orzeczeń, szczególnie najwyższych organów sądowych, nie napotyka równorzędnej polemiki, pomimo tego, że głosowanie orzeczeń jest jedną z podstawowych funkcji prawników. Dzieje się tak m.in. dlatego, że akceptacja społeczna dla sędziów i sądów (oczywiście wtedy i tylko wtedy, gdy nie dotyka nas bezpośrednio niekorzystnymi wyrokami) jest relatywnie duża w porównaniu z pierwszą i drugą władzą. Jest to niezauważalne pokłosie prymatu liberalnej koncepcji państwa i prawa, zgodnie z którą niezależne sądy mają pilnować przestrzegania reguł gry i udawać, że za prawem i regulacjami nie kryje się jak najbardziej nieneutralna aksjologicznie podstawa.

Niemniej tym, co należałoby próbować zmienić, jest przywrócenie szacunku do państwa w miejsce nieodwzajemnionej miłości do UE. Jego rola w budowaniu egalitarnego i dostatniego społeczeństwa została wspomniana powyżej. To przełamywanie smutnego dziedzictwa zaborów i PRL-u musi jednak polegać na przezwyciężeniu niechęci do państwa i do tego, co państwowe. Tak jak drobny przedsiębiorca może być prekariuszem, tak spółka skarbu państwa nie powinna być krwiożerczą korporacją, nastawioną na zysk. A jeżeli bywa też mecenasem sportu i kultury, to tym lepiej o niej świadczy. Pomijam już tak oczywistą kwestię jak strategiczny charakter wielu z nich. Ważne jest zatem przełamywanie anarchistycznej mentalności, przy czym nieistotne jest to, czy anarchista to lewak, czy liberalny prawak, który różni się od niego tylko tym, że starannie zawiązuje krawat, jak słusznie podsumował to przed laty Charles Maurras. Silne i sprawne państwo to takie, które ma swoje granice i potrafi ich bronić, choćby przed sys-

temem dyslokacji.

To państwo budowało często w przeszłości, choćby przez system edukacji, jedność kulturową społeczeństwa, co powinno być bliskie prawdziwej lewicy, bo tylko w takiej sytuacji można marzyć o daleko posuniętym solidaryzmie społecznym. To państwo w końcu najpełniej niweluje nierówności społeczne i regionalne, organizuje transport publiczny, wyrównując tym szanse i zapobiegając wykluczeniu. Czym łatwiej uzasadnić sens jego istnienia i finansowania niż infantylnym wypychaniem wszystkich na rowery albo równie dziecinnym podnoszeniem przez część prawicy argumentu rzekomej walki z kierowcami, jakby nasze zakorkowane miasta i inni kierowcy niedostatecznie zniechęcali nas do jeżdżenia? Prawicy myślącej w sposób konstruktywny o wspólnocie powinien leżeć przecież na sercu problem wykluczenia komunikacyjnego Polaków z prowincji, a przez to ograniczenia ich szans rozwojowych i kulturowych. Jakkolwiek przełamano w poważnej debacie dogmat mówiący o tym, że prywatne oznacza lepsze i lepiej zarządzane, mądrego promowania w społeczeństwie wymaga koncepcja przedsiębiorczego państwa i prowadzenia przez nie polityki przemysłowej. Tak samo jak zweryfikowany negatywnie kryzysem finansowym z roku 2008 brak dostatecznego nadzoru nad instytucjami finansowymi i rynkiem kapitałowym.

Naturalną sferą aktywności państwa, a jednocześnie działaniem wspólnototwórczym jest sfera publicznej (a więc powszechnie dostępnej, równej i egalitarnej) edukacji i polityki kulturalnej. Przez tę ostatnią rozumiemy kulturę wysoką, ale też dostęp do niej dla każdego, a nie równanie w dół w mediach publicznych. Nawet jeżeli wrażliwość co do np. polityki historycznej państwa może nas różnić, idiotyczne zapowiedzi rodzimej postkomuny o konieczności likwidacji IPN to raczej hołd dla antyinteligenckich i wykorzenionych protoplastów wśród jej wyborców. Na prawdziwej lewicy polityka tożsamościowa nie powinna być przedmiotem dyskusji, nawet gdy będziemy toczyć zaciekłe spory o ocenę historycznego czy kulturalnego dorobku naszych przodków.

Prawicy do sztambucha z kolei należy wpisać konieczność dostrzeżenia roli nie tylko kultury, lecz także bazy w tak dla niej ważnej polityce pronatalistycznej i prorodzinnej. Owszem, kultura bezdzietności, moralny permisywizm i indywidualizm w dużym stopniu determinują zmiany postaw prokreacyjnych. Gdy jednak zamkniemy oczy na dostępność mieszkań, wręcz nieosiągalnych dla osób o średnich i niskich dochodach, oraz realnie rosnące koszty wychowania dzieci (spowodowane też erozją usług publicznych w edukacji i służbie zdrowia i ich pełzającą prywatyzacją), to nie przekonamy młodych ludzi do zakładania silnych i stabilnych rodzin.

Gdy zaś mowa o kulturze życia i ładzie moralno-społecznym, to zauważmy, że to w państwach awangardy socjaldemokratycznego postępu np. podejście do prostytucji jest dość rygorystyczne i stanowcze, co jest kolejnym nieoczywistym, ale bardzo ciekawym asumptem do dyskusji o nieoczywistych skutkach ścieżek ideowych prawicy i lewicy. Podobnie jest w tych państwach z podejściem do alkoholu, co może być bliskie prawicowcom zatroskanym o dobrostan moralny narodu. Z drugiej strony mało osób wśród współczesnych lewicowców patrzy z lewicową empatią na nienarodzone dziecko, a przecież czy można sobie wyobrazić kogoś słabszego, bardziej niewinnego, bezbronnego i wymagającego troski?

Prawica powinna także w swym przekazie w końcu dowartościować wspólnoty poza rodziną i narodem i zdać sobie sprawę z erozji wielu ze wspólnot naturalnych, jak rodzina wielopokoleniowa czy instytucje przykościelne. Z drugiej strony nowoczesność wykształciła nowe tożsamości i grupy, które mogą mieć dobry wpływ na kształtowanie myślenia o dobru wspólnym. Dość naturalną wspólnotą wydaje się grupa za-

wodowa, i to zarówno korporacji zawodowej, jak i organizacji związkowej i *stricte* zakładowej (realizowanej np. poprzez rady pracownicze czy akcjonariat pracowniczy). Dlatego też działalność związkowa i samorząd gospodarczy, najlepiej wspierany przez państwo i prawo, powinien zagościć na trwałe na sztandarach i w programach wspólnotowej prawicy.

Kolejną rzeczą, którą prawica powinna bardziej ochoczo podjąć, jest ekologia, choć już nie w duchu globalnej, panteistycznej czy antyantropocentrycznej utopii, która każe nam myśleć o środowisku jako globalnym problemie matki ziemi, ale o nas samych jako mniej istotnych niż zwierzęta, rośliny czy środowisko naturalne. Zamiast jednak starać się w służbie źle pojętej ortodoksji być „antylewicą”[19], lepiej zrozumieć, że kultura *no waste*, antykonsumpcjonizm i życie w zgodzie z naturą to może być głęboko humanistyczne, tożsamościowe i dobre dla narodu podejście.

Z drugiej zaś strony, gdy nowa lewica, a za nią niemal wszyscy w Europie mówią o celach klimatycznych, wrażliwi społecznie wspólnotowcy muszą zapytać o koszty transformacji energetycznej. Tak, aby odbywała się bez ofiar w ludziach i bez wpychania ich w energetyczne ubóstwo, czego wydaje się nie dostrzegać mainstreamowa lewica; kultura *no waste* i życie lokalne bez powodowania śladu węglowego to raczej norma powszechniejsza na polskiej prowincji niż wśród wielkomiejskich leftlibków, nawet jeśli tak tego nie określają na co dzień.

Remigiusz Okraska, długoletni redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel”, przełamującego od lat tradycyjne linie podziałów ideowo-politycznych na rzecz sprawiedliwości społecznej, na łamach magazynu „Kontra” wskazuje na wydarzenia, do których stosunek pokazał, jak niestereotypowo wyglądają podziały w społeczeństwie, m.in. pandemia koronawirusa i wprowadzenie przeszkoleń wojskowych, pozostające jedynie w sferze planów. Natomiast do wspólnych spraw Okraska zalicza m.in. budownictwo mieszkaniowe, prorodzinne regulacje w kodeksie pracy (częściowo zrealizowane, co trzeba przyznać, dzięki lewicy i Unii Europejskiej) czy udomowienie zagranicznych firm w Polsce[20].

Takich nieoczywistych punktów wspólnych oraz syntez prawicowo-lewicowych jest dużo więcej. Nierzadko też połączenie obu tych perspektyw lepiej rozwiązuje dany problem. Sojusz wspólnotowców przeciwko zwrotowi indywidualistycznemu zaistnieć musi jednak zarówno na poziomie metanarracji i metapolityki, praktyki społeczno-politycznej w formie swego rodzaju listy spraw do załatwienia, jak i kwestii personalnych.

CZYTAJ TAKŻE: Antylewica – o problemach prawicy z własną tożsamością

Co robić?

Wzmiankowaliśmy wyżej o tym, czego nie da się zrobić i jakich paradygmatów nie da się przełamać. Rzeczywistość społeczna wymusza raczej skupienie się na negacji i szukaniu wspólnego wroga z jednej strony przy załatwianiu doraźnym, poprzez debatę i naświetlanie ich znaczenia, niektórych kwestii. Raczej atakowanie osobno i uderzanie razem niż budowanie karnego wojska. W warunkach dominacji dyskursu neoliberalnego takie rozproszone rozrywanie szyków przeciwnika może być skuteczniejsze niż próby tworzenia jednego frontu. Wypisaliśmy też powyżej liczne rozbieżności pomiędzy prawicową i lewicową myślą prospołeczną. Niektóre z nich wymagają głębokiej refleksji, rewizji i przepracowania. Część z nich pozostanie z nami wiecznie.

Niemniej już dziś warto dostrzec, że nawet w tak stygmatyzowanym neoliberalnymi pojęciami kraju, ja-

kim jest III RP, w aspekcie metapolitycznym, a więc w gronie eksperckim i publicystycznym, połączone siły antyliberalne to już nie taki plankton. Znajdziemy wśród nich choćby kilku, ale jakże płodnych publicystów lewicowych, konsekwentnie chadecki, a tym samym prospołeczny Klub Jagielloński, katolicko-lewicowy magazyn „Kontakt" (niestety o proimigranckim skrzywieniu, którego słabości omówiliśmy powyżej), wychodzącego od ponad 20 lat „Nowego Obywatela" i jego środowisko, a także byłych polityków i naukowców patrzących co najmniej w sposób bardziej zniuansowany na dychotomię prawica – lewica.

Jeśli misją metapolitycznej prawicy i lewicy jest raczej wpływać na polityków niż nimi zostać, to takie działania są ważne. Pewnie 20 lat temu Kaczyński nie cytowałby Piketty'ego, a odpowiednik ideowy Mateusza Morawieckiego nie omawiał prac Mazzucato. Tym, co należy robić, jest odzieranie myśli lewicowej z miazmatów globalizmu, utopii, a kierowanie w stronę tego, co lokalne i realne zarazem. Uczyć się od siebie nawzajem oraz załatwiać konkretne sprawy, nie tyle poprzez konkretne działania, ile podejmowanie wątków w sposób odważny i wielowymiarowy, ale również realistyczny i ukierunkowany na konkretne działania. Do tego zaś wpływ samotnych intelektualistów, małych think tanków czy niewielkich grup ideowców jest niezbędny. Nawet jeżeli ich praca nie jest szczególnie widowiskowa i doceniana na co dzień.

Poza sferą metapolityczną, nawet w tak stygmatyzowanym neoliberalnymi zaklęciami państwie jak III RP, jaskółki zmian można też od czasu do czasu dostrzec w świecie realnej polityki partyjnej. Objawia się to chociażby w tym, że niemal w każdej partii liberalnej III RP kiełkowała frakcja prospołeczna. Począwszy od balcerowiczowskiej Unii Wolności, poprzez pierwotnie kapitalistyczne Porozumienie Centrum (późniejszy PiS), po dzisiaj bardzo eklektyczną ideowo, a u zarania swych dziejów neoliberalną PO. Ba, nawet postkomuniści nawróceni na turboliberalizm z SLD dorobili się swojej części prospołecznej w postaci Lewicy Razem. W każdej z tych formacji nawet w czysto propagandowym i personalnym wymiarze dostrzeżono w końcu potrzebę zniuansowania przekazu. Nie przeceniając znaczenia takich gestów, zauważmy jednak sprawiedliwie, że zmiana, zdeterminowana czasem zapotrzebowaniem oddolnym społeczeństwa, jest możliwa nawet w liberalnych partiach.

W szerszej perspektywie historycznej pamiętajmy też o tym, jak wiele z dorobku myśli prospołecznej, w tym lewicy, jest dzisiaj dość oczywiste dla nas (ubezpieczenia społeczne, prawo pracy, powszechny obowiązek szkolny i wiele innych), a wymagało przełamania barier, podziałów i stereotypów. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby w przyszłości okazało się, że niezależnie od istnienia trwałych i nieprzezwyciężalnych podziałów społecznych i politycznych wiele z wymienionych wyżej postulatów i haseł doczekało się realizacji.

Artykuł ukazał się w raporcie: „W przededniu wielkich zmian", będącym podsumowaniem cyklu debat pt. „Głos Młodych. Jaka Polska w 2039 r.?"

---

[1] N. Bończa-Tomaszewski, *Demokratyczna geneza nacjonalizmu*, Warszawa 2001, s. 29, 31.

[2] B. Grott, *Zygmunt Balicki. Ideolog narodowej demokracji*, Kraków 1995, s. 54–61.

[3] A. Dawidowicz, *Zygmunt Balicki (1858–1916). Działacz i teoretyk polskiego nacjonalizmu*, Kraków 2006, s. 150.

[4] J.L. Popławski, *Pisma polityczne. Wydanie pośmiertne*, Kraków 1910, t. 1, s. 104–105.

[5] A. Wielomski, *Nacjonalizm wobec problemu Europy*, Warszawa 2018, s. 23–34.

[6] Tamże, s. 28.

[7] A. Chwalba, W. Harpuła, *Cham i pan. A nam, prostym, zewsząd nędza*?, Kraków 2022, s. 18–29.

[8] B. Grott, *O zbudowanie siły narodowej między Rosją a Niemcami. Co mieli nam do powiedzenia Brzozowski, Dmowski, Doboszyński, Malatyński*, „Polityka Narodowa" 2023, nr 28, s. 226.

[9] K. Kawalec, *Narodowa Demokracja wobec procesów modernizacyjnych. Dylematy, recepty, racje* [w:] *Drogi do nowoczesności. Idea modernizacji w polskiej myśli politycznej*, pod red. J. Kloczkowskiego i M. Szułdrzyńskiego, Kraków 2006, s. 76.

[10] B. Grott, *O zbudowanie siły...*, dz. cyt., s. 238.

[11] A. Walicki, *Idea narodu w polskiej myśli oświeceniowej*, Warszawa 2000, s. 75.

[12] R. Rybarski, *Naród, jednostka i klasa*, Warszawa 1926, s. 10.

[13] K. Bonisławski, *Po co narodowi państwo, czyli o zadaniach państwa narodowego, a także o właściwym rozumieniu polityki*, „Polityka Narodowa" 2023, nr 28, s. 46–47.

[14] L. von Mises, *Wykład 3. Indywidualizm i rewolucja przemysłowa* [w:] E. von Böhm-Bawerk, L. von Mises, M. N. Rothbard, *Marksizm. Krytyka*, Wrocław 2016, s. 105.

[15] D. Dynarowski, *Szkoła frankfurcka – zarys historii idei*, „Polityka Narodowa" 2022, nr 26, s. 46–47.

[16] Zob. również: *Prawica vs lewica – czy jest pole do współpracy? Remigiusz Okraska, Marcin Giełzak, Damian Adamus* [online], 9.06.2023, https://www.youtube.com/watch?v=q6GTzFRYLa4 [data dostępu: 15.10.2023].

[17] K. Bonisławski, *Po co narodowi państwo...*, dz. cyt., s. 45.

[18] *Prawo konstytucyjne RP*, pod red. P. Sarneckiego, Warszawa 2014, s. 40.

[19] Zob.: P. Głowacki, *Antylewica – o problemach prawicy z własną tożsamością [online]*, 22.06.2023, https://nlad-kopia1113.instawp.site/antylewica-o-problemach-prawicy-z-wlasna-tozsamoscia/ [data dostępu: 2.12.2023].

[20] R. Okraska, *W obronie wspólnoty – ponad podziałami [online]*, https://magazynkontra.pl/okraska-w-obronie-wspolnoty-ponad-podzialami/ [data dostęp: 2.12.2023].

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/do-solidarystycznej-prawicy-i-wspolnotowej-lewicy/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć